Kraków, 27-go lipca 1913 r.

Rok 9. Nr. 15.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy" nr. 30.

Co dziki gołąb opowiadał Tomkowi?

(Ciąg dalszy.)

— Ja też nie mówię, że to dziś — odparł gołąb. — Mówię tylko, czem się żywię... A kiedy to jadłem — nie mogę dokładnie spamiętać. Połknąłem jeszcze kilka kamyków, a te można znaleźć zawsze, przez cały rok.

— Kamyków! — zawołał Tomek bardzo zadziwiony. — Przecież kamyków nikt nie jada...

— Tak myślisz? A ja byłbym bardzo zmartwiony, gdybym nie mógł znaleźć kilku kamyków na przekąskę przy każdem jedzeniu.

Tomcio pomyślał, że dla niego nie byłoby to żadnem zmartwieniem i posądzał gołębia, że z niego żartuje. Ale gołąb miał taką łagodną i niewinną minkę, że chyba prawdę mówił.

— Czy to duże kamyki? — zapytał Tomek.

— Nie, bardzo maleńkie — objaśnił gołąb. — Takie, jakich potrzebuję do swego młynka.

— Do młynka?

— Tak, do tego młynka, który mam w sobie — dodał gołąb.

Tomek był coraz więcej zdziwiony. Co też ten gołąb mówi? A jednak to taki miły, łagodny ptak. Nie wygląda na to, żeby mógł kłamać.

— Widzę, że mnie nie rozumiesz — powiedział gołąb. — Jeśli chcesz, wytłómaczę ci to dokładnie.

— Ależ bardzo chciałbym się dowiedzieć, jaki ty masz młynek! — pośpieszył Tomek.

Gołąb zagruchał cichutko — i zaczął:

— Tak, ja naprawdę mam w sobie młynek, do którego idzie na zmielenie wszystko, co zjem.

— Więc ty jesteś młynarz? — roześmiał się Tomek.

— Coś nakształt tego — odrzekł gołąb. — Tylko, że młynarz mieszka we młynie, a ja mam młyn w sobie.

— Chciałbym go obejrzeć — powiedział niebacznie Tomek.

— Nie możesz go obejrzeć! — zawołał gołąb przestraszony, — bo musiałbyś mnie pierwej zabić, a toby było niegodziwie! Ten młyn wewnątrz mego ciała, o którym ci mówię, to żołądek, a właściwie mięsista jego część o silnych i twardych ściankach — objaśniał. — Wszystko, co zjem, wchodzi do niego i rozciera się między twardemi ściankami, jak zboże między dwoma kamieniami. Kamyki, które połykam, wpadają do żołądka i tam, obracane razem z ziarnem i nasionami, pomagają do ich zmielenia. A potem wszystko razem przechodzi do kiszek. Teraz już wiesz, dlaczego połykam kamyki.

Tomek właśnie zastanawiał się, czy i on ma w sobie taki młynek, kiedy gołąb zapytał:

— Może chcesz jeszcze czegoś więcej dowiedzieć się ode mnie?

— Chciałbym wiedzieć, gdzie mieszkasz? — zagadnął Tomcio.

— Na tem drzewie — odrzekł gołąb. — W połowie wysokości, na siedmnastem piętrze.

— To jest na siedmnastej gałęzi — poprawił Tomek.

— Tak: mam tam gniazdo, a gołębica właśnie wysiaduje w niem jajeczka.

— Ach! pozwól mi je zobaczyć! — prosił Tomek.

— Nie! odparł stanowczo gołąb. — To za wysoko dla ciebie Nie mógłbyś tam wejść, a niemasz skrzydeł, bo jesteś tylko biedny chłopczyna, nie ptak i nie umiesz fruwać...

— Chciałbym mieć skrzydła i fruwać! — westchnął Tomek. To musi być bardzo miło...

— To największa rozkosz na świecie — odpowiedział gołąb. — Wyobraź sobie tylko, że pływasz wysoko, nad wszystkiem, jakby powietrze było wodą, a ty łodzią. Tylko, że płyniesz prędzej od najszybszej łodzi, a czasem nie potrzebujesz nawet poruszać wiosłami, bo cię wiatr niesie

— Pewnie skrzydła zastępują ci wiosła? — spytał Tomek.

— A tak! i niosą mię tak prędko! Kiedy się zmęczę, rozkładam je i płynę, nie poruszając niemi wcale. To rozkosz! Wtedy wypoczywam...

— To musi być trochę podobnie, jak na huśtawce — pytał Tomek.

— Tak ale jestem wolny i posuwam się ciągle naprzód. A jakie chłodne i orzeźwiające jest powietrze tam wysoko, kiedy tu na ziemi upał dokucza. Słońce świeci i zdaje się tak blizko — a niebo podobne jest do wielkiego, błękitnego morza, po którem płynę — szybko, szybko, szybciej, niż ryba w wodzie. Gdy spojrzę w górę, widzę wielkie białe okręty z rozpiętemi żaglami... To obłoki — i podlatuję tuż do nich. Jak one prędko płyną! Ścigamy się po niebie. A gdy spojrzę na dół, widzę zielone wysepki: to są wierzchołki drzew, nad któremi przelatuję. Moje gniazdo jest na jednem z nich, a ja złatwością odróżniam je od innych. Gdy do niego dolecę, zatrzymuję się i spuszczam się na dół — coraz niżej, coraz niżej, daję nurka ku ziemi, dopóki nie zaszeleszczą wkoło mnie liście... Wtedy siadam na gałęzi i zaczynam gruchać...

— Przy gnieździe? — spytał Tomek.

— Przy gnieździe, jeżeli je mam, jak naprzykład teraz, bo to wiosna — objaśnił gołąb.

— Bardzo żałuję, że nie mogę go obejrzeć i jajeczek także — westchnął Tomek.

Ale próżne były jego westchnienia; gniazdo było wysoko i nie mógł się do niego wdrapać, a nie miał skrzydeł, któreby go tam zaniosły.

— Ile masz jajeczek? — spytał po chwili.

— Dwaa-aa-aa! Hu-u, hu-u, hu-u! odpowiedział głos wysoko, z pośród liści.

To był głos gołębicy, która, siedząc na gnieździe, przyglądała się z góry Tomkowi.

— Tylko dwa? — zadziwił się Tomek.

— Nie jest to dużo, ale jest tyle, ile być powinno — odrzekła gołębica. — Trzy byłoby za wiele, a jedno — za mało. Dwa — jest w samą miarę.

— Nie! to za mało! — upierał się Tomek. — Kury znoszą po dwanaście jaj i więcej: bażanty tak samo...

(Dokończenie nastąpi.)

Przed kapliczką.

Za wsią kapliczka stoi prastara,
Przy dróg piasczystych rozstaju,
Przed nią się dziatwa modli do Boga,
Prosi o szczęście dla kraju.

Prosi gorąco: Daj dobry Boże,
Z kłosem dojrzałym tej niwy,
Daj wszystkim chleba i pomyślności,
By kraj nasz był już szczęśliwy!

Za wsią kapliczka stoi prastara
Odwieczna i pochylona,
Tam przed nią dziatwa klęka w pokorze,
Do niebios wznosi ramiona.

Prosi pokornie w ducha skupieniu,
Rączęta błagalnie składa,
A z niebios promień złocisty słońca,
Na głowy schylone spada.

Prosi dla wszystkich o zdrowie ciała,
O moc i siłę dla ducha,
A z wyżyn jasnych, z obłoków nieba,
Bóg prośby rzewnej wysłucha.

GNIAZDKO.

Było to na jednej z wysp oceanu, gdzie wieczna panuje wiosna. Na wyspie tej, którąby rajem ziemskim nazwać można, zbierały się wśród odwiecznych lasów i gajów wszystkie ptaki, jakie tylko na świecie się znajdują. Były papugi o kolorach tęczy, były małe kolibry, które w słońcu lśniły się jak dyamenty, były pawie o tysiącznych kolorach swych piór przedziwnych, były strusie, żórawie, sto najrozmaitszych gatunków gołębi i tysiące innych ptaków o pozłocistych lub różnobarwnych piórach. Któżby je zliczył?... kto spamiętał?...

W królestwie tem ptaków na owej wyspie, ukrytej od świata, wieczna panowała radość, od wschodu do zachodu słońca rozlegały się śpiewy wśród wspaniałych drzew podzwrotnikowych, wśród wonnych gajów, nieoglądanych jeszcze przez człowieka i niedotkniętych jego stopą, a oprócz śpiewów w braterskiej zażyłości opowiadały sobie owe ptaki wszystko, co tylko widziały i przeżyły...

Ponad zwierciadlanemi jeziorami, ponad złotemi kopułami starych świątyń, wśród przestworza niebios wolnego od mgieł północy i chmur, od chłodu wichrów, od gradu i deszczów, życie wydawało się snem rozkosznym, marzeniem.

Nic więc dziwnego, że na olbrzymiej wyspie, oblanej dokoła niezmierzonemi wodami oceanu, skąpanej w radosnych promieniach wiosennego słońca, nie było ani smutku, ani trosk, wieczna tam panowała szczęśliwość, wieczna radość i wesele.

A jednak były tam ptaki, które wśród ogólnej wesołości na północ ze smutkiem zwracały główki, a jeden z nich rzewne wywodził żale.

Szara była to ptaszyna, niepozorna.

Tęskna piosenka szarego ptaka zwróciła uwagę wspaniałych o królewskiem odzieniu podzwrotnikowych ptaków.

— Czego kwilisz tak żałośnie? — zapytały ptaszka. — Cóż ci brakuje, gdzież będziesz szczęśliwszy?

Ale ptaszek nie przestawał nucić żałosnej pieśni tęsknoty.

Aż pewnego poranku śpiew jego nagle umilkł, szary

ptaszek spadł na ziemię z palmowej gałązki, na której siedział i już nie podniósł się nigdy.

A gdy dziwiły się dokoła ptaki o tysiącznych barwach piór, co mogło zabić szarą ptaszynę, za czem tak tęskniał, znalazły się dwa ptaki, które wytłomaczyły to w kilku słowach.

— To był słowik... z dalekiej północnej krainy... tęsknota za gniazdem ojczystem zabiła go...

— I my tutaj nie pozostaniemy — rzekł drugi ptaszek, o czarnych piórkach z białą plamką na piersiach.

Dziwiły się wielce temu, co się stało, wszystkie na wyspie szczęśliwości ptaki i nie chciały wierzyć tym słowom tęskniących widocznie za przeszłością ptaków.

I wkrótce wśród złotych promieni wiosennego słońca, wśród gajów wonnych po, nad zwierciadlanemi wodami jeziora — zapanowała w tym raju ziemskim dawna radość i wesele.

Aliści pewnego poranku brakło wśród rozbawionych ptaków dwóch, które dobrze im były znane, gdyż one to poznały owego szarego śpiewaka, co umarł z tęsknoty za ojczystem gniazdem.

Były to bocian i jaskółka.

Odleciały na północ z krainy szczęśliwości, aby ujrzeć to, do czego tak serdecznie tęsknił szary słowik.

Mali robotnicy.

Słysząc o wielkich budowlach, wykonanych przez ludzi w czasach dawniejszych i nowszych, musimy sobie pomyśleć: Jak też to wiele może zdziałać praca wspólna i wytrwała!

O ileż jednak większe powinno być zdumienie nasze, gdy rozważymy prace stworzeń drobnych, słabych, prace, które przewyższają nieskończenie to wszysto, co kiedykolwiek dokonać zdołał przemysł człowieka.

Dzisiaj mówimy o pracy olbrzymiej małych niepozornych stworzeń: o glistach czyli dżdżownicach. Każdy powie, że to stworzenie obrzydliwe i tylko szkodę wyrządza

rolnikom, podgryzając lub przynajmiej poruszając korzenie roślin.

Tymczasem ludzie uczeni, przypatrując się bliżej i uważniej życiu tych drobnych istot, wykryli rzeczy bardzo dziwne i ciekawe.

Dżdżownica wygląda wcale niepięknie i napozór jest stworzeniem niedołężnem; nie ma nóg, oczu, uszu, ciało jej składa się z mnóstwa drobnych obrączek, kurczących się i rozciągających z wielką łatwością.

W jedzeniu dżdżownice są bardzo niewybredne: przedewszystkiem lubią liście wilgotne i przegniłe które zręcznie wciągają do swych podziemnych kryjówek.

Kryjówkę dżdżownica grzebie w ten sposób że wciska się w ziemię, pochłaniając ją maleńkim pyszczkiem. Przetrawiwszy znajdujące się w ziemi cząstki roślinne i zwierzęce, dżdżownica wyrzuca resztę drugim końcem swego walcowatego ciała. Otóż takie ustawiczne przepychanie ziemi rozmiękcza ją i spulchnia.

Pewien uczony napełnił doniczkę mokrym piaskiem, z wierzchu nałożył trochę liści i wpuścił tam dwie dżdżownice. Te natychmiast rozpoczęły swoją robotę: wciągały liście pod spód, przełykały je razem z piaskiem i urobioną mieszaninę wyrzucały na wierzch. Po upływie sześciu tygodni, piasek w doniczce pokryty był dość grubą warstwą wybornej próchnicy; tak nazywają ziemię urodzajną, która się tworzy z przegnicia szczątków roślinnych.

Kto mieszka na wsi, nieraz przekonać się może, iż gruz, wapno, rożne kamyki i rumowiska, rozsypane po polach i łąkach, znikają po pewnym przeciągu czasu przykryte całkowicie warstwą ziemi.

Przyczyną tego jest pył, najgłówniejszą zaś wędrówki robaków ziemnych, które ustawicznie ziemię poruszając, usuwają warstwy wyższe, niższe zaś wydobywają na wierzch.

Jeśli są takie wśród dziatek,
Co nie słuchają swych matek,
To w każdej życia godzinie,
Zawsze szczęście ich ominie

Ile warto gniazdko ptaszka?

Kilku wiejskich chłopaków stało przy drodze i ciekawie przypatrywało się jakiemuś przedmiotowi, który jeden z nich trzymał w ręce. Wtem nadszedł pan nauczyciel, a widząc chłopaków, stanął i zapytał:

— Co tam macie?

Chłopcy rozstąpili się, zdjęli czapki, a jeden z nich powiedział:

— Wojtuś znalazł w krzakach nad rzeką gniazdko małego ptaszka i przyniósł, by nam pokazać.

— Pokaż, — rzekł nauczyciel; poczem przypatrzywszy się gniazdku, w którem było pięć małych jajeczek, rzekł:

— Jest to gniazdko strzyżyka. Mały to ptaszek, ale bardzo pożyteczny, bo zjada przez lato mnóstwo owadów, Źle zrobiłeś. Wojtusu, że zebrałeś mu gniazdo. Biedna ptaszyna napróżno szukać będzie swego mieszkanka, a nie znalazłszy go, uleci w inną stronę i nie będzie tępiła w naszej wiosce gąsienic, które tak niszczą drzewa w sadzie.

— Czyż to tak wielka szkoda, gdy jeden ptaszek nas opuści? Wszak on niewiele gąsienic wytępi, — rzekł jeden z chłopaków.

— Mylisz się, — rzekł pan nauczyciel, — z tych pięciu jajek wylęgłoby się pięć piskląt, którym rodzice znosiliby cały dzień gąsienice i inne owady. Gdyby każdy ptaszek zjadł dziennie tylko 10 gąsienic — a zjada ich więcej, uczyniłoby to w ciągu miesiąca, przez który ptaszki karmią swoje młode, 5×10×30 t. j. 1.500 gąsienic.

Przypuśćmy, że każa gąsienica ogryzła dziennie jeden tylko kwiat na drzewie owocowem, to czyni w miesiącu 30 kwiatów, z których już nie rozwinie się owoc. Ptaszki z jednego tylko gniazdka, tępąic około 1.500 gąsienic, ocalą nam tem samem 45 tysięcy kwiatów. Gdyby tylko połowa z tych kwiatów dała owoc, czyni to już więcej niż 20 tysięcy jabłek, gruszek czy śliwek. Gospodarz, sprzedając te owoce choćby po kilka groszy za tysiąc, otrzymałby za to sporo pieniędzy. Patrzajcie teraz, jak wielką szkodę wyrządzają wiosce naszej lekkomyślni chłopcy, którzy niszczą gniazda ptaszkom.